WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 38. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 21 Września 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.75, kwartalnie: Mk. 8.25, półrocznie: Mk. 16.50, rocznie: Mk. 33.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem”: Mk. 1.90; ogłoszenia zwycz. 80 f. „Nadesłane“ Mk. 3.50, margines Mk. 22.50. Kolumna Mk. 450. Załączniki Mk. 50 za tys.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 85.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 38, półrocznie: Mk. 19, kwartalnie Mk. 9.50.

W Lublinie „Bluszcz” w biurze dzienników „REKORD” — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17 i Zastępstwo ul. Retoryka I.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

JULJA KISIELEWSKA (J. OKSZA).

CHEŁMSZCZYZNA.

Unja a Schyzma. Męczennicy a Hajdamacy.

10)

Nagły zgon szatańskiej carycy przerwał jej ohydne dzieło. Paweł I chciał pojednać się ze stolicą apostolską, prosił nuncjusza na swoją koronację, zakazał prześladowań unitów. Wtedy to nuncjusz zażądał przywrócenia metropolicie Rostockiemu i biskupom unickim ich djecezji, szanowania obojga obrządków, według traktatu—i oddania unitom zagrabionych cerkwi i posiadłości. Car zdawał się do tych żądań przychylać, ale czuwały dwie harpie: arcybiskup białoruski Siostrzeńcewicz—i schyzmatycki synod petersburski. Skończyło się więc na kompromisie, który zamknął ery srogich prześladowań: obok istniejącego jeszcze arcybiskupstwa połockiego wznowiono dwa nowe: łuckie i brzeskie. Nieszczęśliwi unici zaczęli trochę swobodniej oddychać, wielu przymusem nawróconych złączyło się znów z kościołem tak bardzo ukochanym. Życie religijne na Wołyniu, Podolu i Litwie zaczęło się pogłębiać i rozkrzewiać. Za Aleksandra I Bazyljanie znów rozwinęli nader wydatną pracę oświatową. Wskutek traktatu w Tylży dostał się Rosji obwód białostocki—z Supreślem stolicą djecezji. Wtedy utworzono nowy podział: djecezja wileńska, jako metropolitarna i djecezja włodzimierska—zajęły miejsce brzeskiej i supreskiej.

W Księstwie Warszawskiem po szczęśliwej kampanji ks. Józefa, ster djecezji chełmskiej objął w 1810 r., zacny i rozumny ksiądz Ferdynand Ciechanowski—i zasiadł oczywiście w senacie Księstwa.

Gdy Kongres wiedeński ustalił nowy podział Polski — djecezja chełmska miała to samo stanowisko, a biskup zasiadł w senacie. Gdy zaś tymczasem udało się stolicy apostolskiej uzyskać od Aleksandra erekcję metropolji unickiej—pomiędzy metropolitą Bułhakiem, a biskupem Ciechanowskim blizkie zadzierżgnęły się stosunki. Zawsze jeszcze Siostrzeńcewicz paraliżował pomyślne dla unji decyzje—swoimi wpływami. W każdym jednak razie Bazyljanie mieli wiele klasztorów i 14 gimnazjów, które kształciły wyżej 4 tys. młodzieży. Za czasów młodości Mickiewicza, Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego, miasteczka kresowe przedstawiają niezmiernie sympatyczne, kulturalne oblicza, gdyż wszędzie zrealizowane jest *powszechne nauczanie średnie,* tak bardzo środki są dostępne. A szkoły to dobre: uczą w nich tak, że młodzieńcy od 16-go do 20-go roku życia są przeważnie dostatecznie rozwinięci dla prowadzenia poważnych studjów uniwersyteckich. Życie przytem w tych zakątkach jest zacne, bogobojne, spokojne, pełne harmonji i dobrych uśmiechów. I teraz pytanie co z krajów tych zrobiła barbarzyńska ręka schyzmy? Nędza, brud, szachrajstwo—żydowski proletarjat—urzędnicza podła sfora — i trochę zafukanej ludności polskiej i białoruskiej. Oto co przyniosła ta systematyczna, planowa destrukcja żywiołu polskiego i wpływów polskich na Litwie i Białorusi—od Mikołaja — poprzez Murawiewa Wieszatiela, aż do ostatnich szykan i ograniczeń, które dopiero po wojnie japońskiej era konstytucyjna nieco uchyliła.

VI.

Zniesienie Unji. — Działalność Siemaszki. — Męczennicy na Litwie i Białorusi.

W roku 1825 car Mikołaj objąwszy po bracie rządy, postanowił iść za przykładem Katarzyny do zupełnego zniesienia unji i wcielenia unitów do kościoła prawosławnego.

Na parę lat przed powstaniem 31 roku już ten zamiar był dojrzale opracowany i wchodził powoli w życie. Już 1826 roku zakazano surowo sprzedaży ruskich książek do nabożeństwa na odpustach i jarmarkach, w dwa lata później zniweczoną została cała hierarchja duchowna unicka, a wstrząśnięty do głębi ustrój zakonu Bazyljanów. W tym samym roku 1828 wybija się na wpływowe stanowisko Józef Siemaszko, młody, ambitny, zdolny karjerowicz, który następnie stał się złym duchem unickiego kleru, zdrajcą-apostatą i okrut-

nym katem, najbezwzględniej pastwiącym się nad ofiarami.

Siemaszko zostawił interesujące pamiętniki, które zużytkowane zostały przez X. Dra Chotkowskiego, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego do skreślenia dziejów zniweczenia unji na Litwie i Białorusi. Wychowany w seminarjum wileńskiem, w tej samej atmosferze, zdałoby się, która otaczała Filomatów—entuzjazmował się — jak pisze w „Pamiętnikach", do Konstytucji 3-go Maja — ale już wtedy dokonał się w nim przewrót, zaczęła kiełkować nienawiść do katolicyzmu, pod wpływem niebacznie wprowadzonych podręczników Historji Kościoła, przedstawiających młodym alumnom nadużycia z czasów odrodzenia w Kurji rzymskiej. Książki te tchnące józefinizmem dostały się z Wiednia do seminarjum łacińskiego i unickiego w Wilnie być może wskutek liberalizmu ówczesnego kuratorjum Czartoryskiego.

Jak widzimy—z własnych wyznań Siemaszki—niebaczność taka może dać skutki najfatalniejsze, jeżeli ziarno nieufności i zburzenie autorytetu padnie na grunt kulturalnie mało przygotowany, na inteligencję lotną, a charakter słaby. Siemaszko w pamiętnikach swych chlubi się z swego dzieła, każda karta pamiętników przepojona jest nienawiścią do katolicyzmu i polskości, jednakże robi to wrażenie, jakoby nienawiść ta została dokomponowana do sytuacji, a istotną sprężyną działalności tego sprężystego i twardego człowieka, była przedewszystkiem ambicja, żądza władzy, majątku i dostojeństw. Chciał się wybić wysoko i mieć w ręku dolę i niedolę ludzi, chciał mieć władzę do zgnębienia i zniszczenia wszystkiego, coby się jego mocnej, samowładnej woli mogło oprzeć i sprzeciwić. Mianowany na prezydenta sekcji unickiej w synodzie schyzmatyckim nakreślił odrazu cały plan zniszczenia unji i przedstawił go carowi Mikołajowi, który zażądał od metropolity unickiego Bułhaka —mianowania Siemaszki na biskupa sufragana dla eparchji litewskiej. Siemaszko dobrał sobie godnych pomocników: Żarskiego, Zubkę-Lusińskiego. Przekupstwem, podstępem, obietnicami, usiłowali oni zjednać sobie jaknajwięcej zwolenników wśród duchowieństwa unickiego i udało im się istotnie zdziałać znaczne spustoszenia. — Wśród biskupów tylko staruszek metropolita Bułhak trwał niewzruszenie przy unji, co utrudniało odstępcom ich apostolską pracę. Liczyli, że śmierć uwolni ich od upartego starca, do którego poszepty ambicji nie miały dostępu.

Rozwiązanie zakonu Bazyljanów, głównego gniazda unji w roku 1832, zmiany w obrządku, wymierzone przeciw uchwałom synodu Zamojskiego — a wyrzucające z kościołów organy, dzwonki, śpiewy religijne ludowe, zakładanie biskupstw schyzmatyckich między unickiemi w Wilnie, Warszawie, Połocku, Poczajowie na Wołyniu. Zabór cudownego obrazu Poczajowskiego przez prawosławie — to wszystko akty wstępne do ostatecznego zdławienia unji, zniesienia jej, wcielenia „przez miłość" do schyzmy.

Największy opór ze strony niższego duchowieństwa zakonnego i parafjalnego wywołał rozkaz wydany 1834 roku przez Siemaszkę do biskupów, aby odebrali księżom stare mszały, brewiarze, modlitewniki, a nakazali w to miejsce używać schyzmatyckich mszałów i innych ksiąg liturgicznych, wydanych w Moskwie specjalnie na ten cel. Pousuwano bowiem ołtarze, przywrócono carskie wrota z ikonostasami, wyrzucono z cerkwi organy i dzwonki, zakazano różańca, litanji, klęczenia w kościele, zniesiono procesję, a zwłaszcza uroczystość Bożego Ciała, zabroniono księżom miewania kazań i wszelkich nauk dla ludu.

(C. d. n.).

Organizacya przemysłu kobiecego.

(Referat wygłoszony na Zjeździe przemysłowców w Krakowie).

(DOKOŃCZENIE).

Przeciwny przykład mamy na szkołach koronkarsko-hafciarskich przemysłowych we Lwowie i w Krakowie, które mimo najlepszego kierownictwa i zdolnych sił nauczycielskich stanęły z braku uczenic. Obecnie te szkoły uczą krawiectwa i bieliźniarstwa, a tylko jeden mały oddział poświęcony jest koronkarstwu. Gdyby wszystkie uczenice w tych szkołach otrzymywały były stypendya, a ucząc się zarobiły jeszcze 20—30 kor. miesięcznie, toby się z pewnością do tej szkoły garnęły i były zadowolone. Po ukończeniu zaś szkoły, mogłyby niektóre zostać robotnicami w pracowni, którą należałoby przy szkole stworzyć. Kandydatki te jednak dotychczas nie przewidywały z ukończenia tych trzyletnich kursów żadnych korzyści. Do pracowni wstąpić nie mogły, bo ich nie było i dotychczas niema; do Związków nie mogły oddawać swojej roboty, bo organizacyi takiej nie było, a posad instruktorek także nie mogły otrzymać, bo Wydział krajowy nie zakładał nowych szkół koronkarsko-hafciarskich w kraju. Zresztą w powyższych szkołach przemysłowych kładziono główny nacisk na wykonanie bardzo trudnych artystycznych modeli. Uczenice tam ślęczały często po kilka miesięcy nad jednym mozolnym wzorem, który nadawał się raczej do muzeum, albo musiał czekać kilka lat na bogatego kupca. Uczenicami na tych kursach nie były bogate panny, ale starsze kandydatki niezamożne, dla których korona dużo znaczyła i musiał ich ktoś przez te trzy lata utrzymywać, a w końcu nauka ta nie dawała im kawałka chleba.

Pod względem wartości koronek sądy są rozmaite. Pytam jednak dlaczego koronki mają być przystępne tylko dla milionerów. Możemy przecież robić rzeczy lżejsze, tańsze, a mimo tego piękne w rysynku, technice i wykończeniu, a wtedy przystępne dla ludzi średnio-zamożnych, jak to się praktykuje za granicą. Zresztą po szkołach, pracowniach i sklepach możemy mieć rozmaite koronki i hafty, obok bardzo drogich, także i tanie.

W Zakopanem robią mi niektórzy zarzut, że popularyzuję koronki. Na to odpowiadam, że mam rozmaite wyroby, ale kołnierz za 300 kor. leży rok, zanim go sprzedam, a kołnierzyków od 3—10 kor. sprzedaję setkami. Z tych wywodów widzimy jasno, że nie społeczeństwo musi się stosować do szkoły, ale szkoła powinna być stworzona odpowiednio do wymagań życia, bo zła szkoła, lub brak szkoły sprowadza upadek ekonomiczny.

Szkołom przemysłowym we Lwowie i Krakowie radziłabym, by stworzyły u siebie popołudniu od 3—6 bezpłatną naukę koronek i haftów dla uczenic szkół miejskich wydziałowych. Jest np. w mieście 6 takich szkół, a z każdej przyjdzie tylko 15 uczenic pilnych w nauce, a lubiących roboty ręczne. Będzie więc uczenic 90. Te należy podzielić na 6 oddziałów po 15-cie w jednym. Jeden oddział będzie przychodził na naukę tylko raz na tydzień, na trzy godziny odrazu. W takim razie w nauce uczenica się nie zaniedba, a 3 godziny na 15 uczenic wystarczy, by robotę zacząć, wytłumaczyć i zadać do domu, aby w wolnych chwilach robiły. Uczenica tako po 2—3 tygodniach za zrobiony drugi motyw powinna otrzymać już zapłatę. Tak więc uczenice, które zaczną chodzić na takie lekcye w klasie 5, zanim ukończą klasę 7, będą już wyćwiczonymi robotnicami. Radziłabym wprowadzić na tych kursach grubsze koronki szyte hedebo, które w Grecyi, Czechach i Danii szyją nawet młodsze uczenice. Motywy takie potrzebne są do bielizny i bluzek białych letnich. Należy wprowadzić także filety staroniemieckie cerowane, i polskie ściegiem węzełkowym, które robimy u siebie od 3 lat; wychodzą plastyczniej i mocniejsze są w praniu. Prócz tego należy wprowadzić i hafty. Radę powyższą dyktuje mi doświadczenie, zdobyte przez 5 lat przed wojną w mojej prywatnej uczelni we Lwowie, gdzie zawsze miałam pełno uczenic i robót, a każda serya przychodziła tylko raz na tydzień. Ażeby koronkarstwo i hafciarstwo u nas w kraju prędzej rozwinąć, proponuję, żeby Rada szkolna krajowa dawała urlopy najmniej półroczne nauczycielkom ludowym i wydziałowym. Mogę przyjąć na naukę w naszej szkole 6 pań co roku. Dalej proponuję, by Wydział krajowy ustanowił po miasteczkach powiatowych instruktorki lub nauczycielki, któreby były pośredniczkami między nauczycielstwem ludowem a związkiem w Zakopanem. Ważną rzeczą byłoby, aby nauczycielki w jednym powiecie najpierw wprowadzały te roboty ręczne na razie na godzinach nadobowiązkowych, a może Bóg da, że niedługo doczekamy się zmiany planów w szkołach ludowych i będziemy mieli nie 3 ale 6 godzin tygodniowo na roboty, tak jak mają w Czechach. Przecież nadejdzie czas, że ze szkoły ludowej usuniemy obce języki, a rozwijać będziemy te małe mózgi dziecięce przez pierwsze 4 lata tylko w języku ojczystym, a powtóre zredukujemy w szkole zadania tak zwane po dawnemu egzaminowe, które w takiej formie jak są dzisiaj przeprowadzane, pochłaniają tylko znaczną część drogiego czasu, przynoszą dziatwie znikomy pożytek, nauczycielstwu zaś rujnują

zdrowie ciągłem poprawianiem. Ćwiczenia i dyktaty powinny być w szkole nawet codziennie, ale w innej formie. Mówię to po 35 latach nauczycielskiej pracy. Mało czasu ma się na czytanie w szkole pięknych rzeczy, na wysławianie się ładne, na pogadanki pedagogiczne, dające rady przydatne w życiu, bo ciągle pisze się zadania, robi się poprawki i znów godzinami przygotowuje się do tych zadań, byle tylko zeszyty były wspaniale zapisane dla wizytacyi p. dyrektora lub p. inspektora. A tymczasem dzieci robią błędy bez końca, bo nie umieją dokładnie tego, o czem pisać mają. W szkole niema czasu na wyuczenie tego. Przecież nowożytna szkoła powinna do domu jak najmniej zadawać, a wszystkiego w szkole wyuczyć. U nas nie pozwala na to przepełnienie klas.

Twierdzę stanowczo, że kto te dwa powyższe ciężary zdejmie ze szkoły ludowej, ten się zapisze w pedagogii złotemi głoskami. Wtedy znajdzie się czas w szkole i na roboty ręczne.

Słyszałam już i takie zdanie, że może za dużo będzie u nas w przyszłości koronek. Otóż odpowiadam, że za 100 lat, przy intensywnej pracy w tym kierunku jeszcze koronek u nas będzie za mało i tylko na nasze potrzeby, bo o wysyłkach na większe rynki zbytu i marzyć nie możemy. Żeby tylko obsłużyć krajowe szwalnie bielizny i pracownie bluzek i sukien letnich białych, potrzeba tysięcy rąk wyszkolonych. W innych państwach robią już miliony, a u nas ledwie dziesiątki zaczynają. Przecież hafty ręczne i maszynowe przychodzą ze Szwajcaryi, a kupcy nasi do swoich szwalni bielizny sprowadzają paski z ząbkami ręcznie robionemi do koszul aż z Hiszpanii. Założyć także powinniśmy pracownię, gdzieby zaczynano roboty. Wiemy wszyscy, jakie tysiące szły z Polski do ostatniej chwili przed wojną na zaczęte roboty do Paryża, Lionu, Berlina i Wiednia. W żadnym sklepie nie było u nas robót zaczętych przez nas. Przecież potrafimy także dobrać do roboty stosowne wzory i harmonijnie złożyć kolory. Pracownia taka 100 osób mogłaby zatrudnić i jeszcze byłoby za mało. Płaconoby za zaczynanie od sztuki. Kupcy i wiele osób prywatnie zgłasza się do nas po zaczęte roboty, a my musimy wszystkiego odmawiać, bo nic nie mamy na składzie.

Koronki i hafty nasze nie ustępują zagranicy, a często przewyższają ją. Nareszcie przychodzimy do przekonania, że swój powinien kupować u swego, bo inaczej nigdy nie dojdziemy do dobrobytu w państwie. Na zakończenie wspomnę jeszcze, że koronki i hafty powinna robić wieś w zimie, a klasa średnia przez cały rok w chwilach wolnych od innych zajęć. Robotnice zaś w wielkich miastach, które tylko z zarobku utrzymują się, powinny pracować maszynowo więcej, bo to daje prędszy i rentowniejszy zarobek. Chcielibyśmy także obecnie wprowadzić w naszej szkole warsztacikowe koronki klockowe, wązkie do bielizny, które wyrabiają już nowym sposobem w Czechach, w okolicy Chebu. A są tak ładnie zrobione i łudząco podobne do ręcznych, że trudno rozpoznać. Jedna z moich pań nauczycielek wyjeżdżała umyślnie w tamte strony, by wyuczyć się tego nowego systemu, jednak mimo znajomości i protekcyi, nie wpuszczono jej nawet do pracowni, mówiąc, że zdradziwszy tajemnicę, straciliby miliony, które w 10 latach na nowym wynalazku zarobić mogą.

Odbiegłam nie jeden raz od ścisłej treści mego referatu, ale po tylu latach pracy nauczycielskiej tyle myśli nasuwa się z doświadczeń zdobytych, dla reformy naszego przemysłu drobnego kobiecego i naszych szkół, że chciałoby się wszystkie te myśli wypowiedzieć i pozyskać jaknajwięcej zwolenników dla tej sprawy. Pokolenie następne powinno wynieść ze szkół praktyczniejsze przygotowanie do życia, niż wyniosło pokolenie obecne.

Zakopane. *Marya Dudrewiczowa.*

Samopomoc gospodarcza.

(DOKOŃCZENIE).

Ziemia nasza posiada ogromne przestrzenie *leśne*. Mamy więc w obfitości drzewa na opał, na budulec, jako też do wyrobu papieru. Pamiętając o przyszłości, należy prowadzić racjonalną hodowlę *szkółek drzewnych*.

Warzywa i owoce w naszym klimacie także znakomicie się udają, starajmy się ich hodowlę umiejętnie uszlachetnić, a plon sowicie się wynagrodzi; starczy i na potrzeby własne i na wywóz i na przetwarzanie. Powstać więc winny prowadzone na dużą skalę suszarnie, fabryki konserw, marmelad, kompotów, konfitur, soków i win owocowych. Otwiera się tu ogromne pole pracy dla wytwórczości kobiecej, gdyż każde gospodarstwo wiejskie przyrządzać może wyżej wspomniane produkty i zasilać niemi rynek handlowy.

Pamiętać też należy o *ziołach*. Oprócz dziko rosnących można otrzymywać wielkie zbiory z upraw specjalnie przedsiębranych. Zioła te przydać się mogą bardzo do smacznych naparów, mogących w zupełności zastąpić dotychczasowe nasze napoje, następnie do wyrobu środków leczniczych i do użytku palaczy tytuniu. Dotychczas dziedzina ta leży odłogiem i dużo pieniędzy płacimy za te produkty zagranicy.

Ogromny przemysł dałby się też prowadzić *miodem, woskiem i cukrem*. Cukrownie nasze zdobyły już sobie rozgłos zasłużony na rynku europejskim. Pszczolarstwo zaś wymaga dużo starań i pracy, by powróciło do znaczenia, jakiem się cieszyło w latach dawnych.

To samo można powiedzieć o *rybiarstwie*, które niegdyś kwitło, a dziś jest w ogromnem zaniedbaniu. Wobec obfitości rzek i jezior na naszej ziemi, produkcya rybna powinna stanowczo szybko się podnieść.

Wzmóżmy również umiejętnie *hodowlę drobiu domowego*, starajmy się poprawić jego rasę, przez co zyskamy smaczny pokarm w postaci mięsa i jaj, a przytem pierze i puch.

Rozprzestrzeńmy uprawę *lnu i konopi*, zajmijmy się hodowlą owiec na *wełnę*, a okaże się, że własne surowce starczą w zupełności na tkaniny lniane, bawełniane i wełniane, które przed wojną w ogromnych ilościach sprowadzaliśmy z zagranicy na własne potrzeby.

Trudno w tak krótkim opisie zebrać wszystko, co godnem byłoby uwagi z dziedziny gospodarstwa narodowego: należałoby jeszcze wspomnieć o gorzelniach, browarach, fabrykach octu, musztardy i t. p., jak również o *skórze* na obuwie, rękawiczki i przedmioty galanterji; o *futrach* ze zwierząt, żyjących w naszych lasach i puszczach, z których można by większe niż dotychczas zyski osiągnąć przy przestrzeganiu przepisów racyonalnego polowania i t. d.

Chociaż opis powyższy bardzo jest pobieżny, ale już zarysowuje się w nim dowód niezbity, że niema prawie takiej dziedziny gospodarstwa, której potrzeby nie mogłyby być zaspokojone wyrobami własnemi.

Wobec takiego bogactwa naturalnego grzechem naprawdę byłoby oglądać się za cudzą pomocą, grzechem, wydawanie grosza za granicę na sprowadzanie gotowych przedmiotów, gdy wszystko sami możemy sporządzić.

Trzeba tylko by cały kraj stał się jedną wytwórnią. Niech wytwarza każdy, mężczyzna i kobieta, niech pracują i wielkie fabryki i pojedyńcze ogniska gospodarskie, a całość pięknie sama się złoży.

„Przedać, to nie mówię“ powiedział mądrze Dobiesław Kochanowski. I słusznie: gdy pracą naszą podniesiemy wytwórczość krajową, wtedy starać się będzie trzeba o rynki zbytu w Europie — a może i jeszcze dalej. Przecież w wieku XVII wysłano do Chin sukna wyrabiane w Rawiczu.

Z handlu rozwiniętego przysporzy się krajowi bogactwo, które bardzo a bardzo jest potrzebne, tembardziej dzisiaj przy tak wielkiem zubożeniu.

Wzbogacanie się polega nie tylko na tem, by wytwarzać, lecz w równej mierze i na tem, żeby nie marnować rzeczy wytworzonych, ale będących w stanie nieużywalności. Drugim więc naszym zadaniem ekonomicznem stać się winno *nie marnowanie nieużytków*.

Mowa tu głównie o nieużytkach miejskich, bo na wsi obieg materii organicznej jest uproszczony i fabryczka sama się prowadzi: nieużytki i odpadki gospodarskie w części służą za pokarm dla bydła i trzody chlewnej, w części zaś obracane są na nawóz.

Inaczej po miastach, o czem z powodu ważności przedmiotu, pomówimy obszerniej w następnych numerach „Bluszczu“.

Trzeciem zadaniem, zmierzającem do pomnożenia naszego bytu ekonomicznego, winno stać się hasło — *nic nie sprowadzać z zagranicy i pieniędzy z kraju nie wywozić*. „Przecież niema się tego człowiek napierać, co się w domu nie rodzi“—powiedział stary pan Dobiesław, a wieszcz Jan pouczał, że „to pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem“. Posłuchajmy więc mądrych rad i rozumnych słów, przemawiających do nas z za grobów omszałych i nauczmy się obywać tem, co nam kraj własny dostarcza.

Wojna dzisiejsza jest nam dobrą nauczycielką, bo już nas wiele w tym względzie nauczyła: przedewszystkiem oduczyła nas szablonowych podróży po międzynarodowych hotelach, co pochłaniało miljony rubli. Następnie nauczyła nas zastępować produkty zagraniczne własnemi: i tak pijamy kawę żytnią, herbatę z ziół swojskich, jadamy marmelady i konserwy wyrobu własnego, ubieramy się w tkaniny, sporządzane w kraju i t. d. Idźmy dalej tą drogą, a zaprowadzi nas ona do doskonałych wyników, służących i zdrowiu i kieszeni.

Rzucam nawet myśl, która u ogółu naszego znaleźć powinna wdzięczny posłuch. Zjednoczmy się w związek osób, któreby nie tylko myślą, lecz czynem poparły wyżej przytoczone argumenty, i przykładem własnego życia i propagandą poparły te

zadania, zmierzające do podniesienia naszego bytu ekonomicznego.

Niechaj to będzie związek *Samopomocy gospodarczej (S. G.)*.

N. Zwejgbaumowa.

Społeczny czyn ziemianek pułtuskich.

Opłakany jest los młodzieży szkół średnich, która po naszych miastach powiatowych, musi się uczyć, mieszkając po tak zwanych „stancyach".

O ile w Warszawie, Łodzi, Lublinie, spotkać możemy stancye, zbliżone do wymagań hygieny i wychowawczych ideałów, o tyle po innych miastach powiatowych naszego kraju jest to zjawisko nader rzadkie, lub zgoła niespotykane.

Biorą się do tego osoby, nie zdające sobie sprawy z wielkiej odpowiedzialności, jaką na swoje barki przyjmują, nie posiadając ani źdźbła kultury i pedagogicznych zdolności.

Po za bardzo wadliwą stroną moralną, niemniej smutnie przedstawia się sprawa hygienicznych warunków oraz sprawa odżywiania.

To też palącą kwestyą staje się dla wszystkich miast, mających uczelnie średnie, u nas w Królestwie otwieranie filji burs, jakie widzimy w Warszawie.

Od p. Winnickiej z Pokrzywnicy, dowiaduję się, że grono ziemianek pułtuskich po porozumieniu się z zarządem szkoły im. Piotra Skargi w Pułtusku przystąpiło do otworzenia od roku szkolnego bursy dla młodzieży niezamożnej. Na razie dobrodziejstwo to będzie obliczone na mały zakres, bo projektowana bursa ma pomieścić 20 chłopców, ale sądzimy, że ziemianki z każdym rokiem rozszerzać będą zakres pracy, tak pięknej i obywatelskiej, jaka może być związana z faktem założenia i prowadzenia bursy.

Ani chwili nie wątpię, że ziemianki pułtuskie, gdy się do pracy wśród młodzieży gimnazyum pułtuskiego zbliżą, nabiorą ochoty do rozszerzania jej zakresu i nie jeden dobry, szlachetny uczynek w stosunku do młodzieży niezamożnej, będzie mógł być przez nie spełniony, cicho, dyskretnie, właśnie przy pomocy i za pośrednictwem bursy, do której kierować one będą i rzeczy, i książki szkolne, zbyteczne dla ich synów, a zdatne do użycia dla kolegów z bursy.

Nawiąże się też przy tej okazyi naturalny łącznik, między młodzieżą ze dworów, uczącą się najczęściej w Warszawie, a młodzieżą z chat, kształcącą się w gimnazyum pod patronatem wielkiego demokraty jakim był Skarga, w Pułtusku. To, co dzisiaj dzieli ojców tych dzieci w tym powiecie, tak silnie zróżniczkowanym na dwa stany posiadaczy, na wielką i małą własność, może być pomniejszone wśród ich dzieci, które spotykać się będą mogły na kondycyach, na letniskach udzielonych przez bardziej uświadomione po obywatelsku dwory uczniom z bursy, i na terenie organizacyi społecznych, jakie młodzież zgrupowana po bursach wytworzyć powinna, aby wcześnie zaprawiać się do życia społecznego i obywatelskiego, w którem intensywnie pracując, spłacić będzie mogła w przyszłości dług zaciągnięty wobec społeczeństwa. Zadaniem mojem, jako referentki „Bluszczu" jest nietylko opisywać dobre, o dużej społecznej wartości pomysły, ale i w miarę możności uczyć tych, którym bielmo zarozumiałości wzroku nie zasłania, jak to, co się robi, robić trzeba, aby było zrobione, możliwie—dobrze.

Otóż zdaje mi się, że zaczynając jakąś pracę nową dla nas, powinniśmy poznać dorobek innych w tej dziedzinie.

Rada Główna Opiekuńcza w Warszawie przy ulicy Wielkiej № 35 ma I i II bursę. Może nie jest tam jeszcze wszystko tak, jak być powinno, ale w granicach tych funduszów, jakiemi bursy rozporządzają,—zrobiono już wiele.

Są tam dwaj ludzie, którzy się na prowadzeniu burs i wychowywaniu w takich środowiskach młodzieży istotnie znają, są to pp.: Adamczewski i Babicki.

Z tymi ludźmi i z ich pracą, radzę serdecznie ziemiankom pułtuskim poznać się i wzbogacić ich doświadczeniem.

I jeszcze jedno, na terenie pułtuskiego powiatu nie brak światlejszych i po obywatelsku czuć umiejących włościan i drobnej szlachty. I jednych i drugich należy projektem koła ziemianek pułtuskich zainteresować, do pracy wciągnąć i do ofiarności pobudzić.

Nie powinno się bowiem pomijać żadnych okazyi do wciągnięcia do wspólnej pracy oświatowo-kulturalnej ziemian ze dworów, z ziemianami z dworków i chat.

Przy takiej pracy o poznanie swych istotnych wartości najłatwiej, a na nienawiść niema poprostu miejsca.

Stefania Bojarska.

Z LITERATURY.

W sprawie końca świata.

W sprawie interesującej dziś szeroki ogół książki p. t.: *Koniec świata według przepowiedni św. Malachyasza i innych*, napisanej przez d-ra Jod, dajemy na tem miejscu głos samemu autorowi tej pracy, zaznaczając od siebie, że pod tym pseudonimem ukrywa się znany literat.

W niektórych sprawozdaniach z książki mojej, która świeżo ukazała się w druku, p. t.: *Koniec świata według przepowiedni św. Melachyasza i innych*, wyczytałem zdanie, jakobym, przesuwając datę ks. de La La Tour de Noé, *wykreślał* koniec świata na r. 1967! Zdanie to jest—nieporozumieniem dziennikarskiem, jako wynik pobieżnego czytania książki. Nie rościłem sobie nigdy i nie roszczę też dzisiaj, zwłaszcza w tak ważnej sprawie, tytułu wróżbity, —data zaś zagadkowa roku 1967-ego w świetle rzeczywistości przedstawia się, jak następuje.

Książkę swoję o *Końcu świata* oparłem, jak to omówiłem w rozdziale I-szym, na wielce popularnem we Francyi (czterdzieści wydań) dziele ks. de La Tour de Noé, który całe swe życie poświęcił mozolnym studyom nad przepowiedniami św. Malachyasza. Święty ów w XI wieku wykreślił godła 112-stu papieży, jacy od jego czasu mieli panować aż do skończenia świata. W wyniku badań księdza de La Tour de Noé, przepowiednie te sprawdziły się najzupełniej, nie chybiwszy ni razu, w stosunku do 104 dotychczasowych papieży. Stąd wniosek, że i co do wykreślonych jeszcze na przyszłość ośmiu papieży przepowiednia sprawdzić się musi.

Nie dosyć na tem. Ks. de La Tour de Noé, który gorąco uwierzył, na mocy swych badań, w nadprzyrodzoność źródła tych przepowiedni i całe swe życie poświęcił żarliwej propagandzie w celu naprawy ludzkości przed oczekującą ją katastrofą, wykreślił, na podstawie rachunku przeciętnego dzieląc, mianowicie, cały okres lat papieskich przez ilość papieży od Piotra I do Piusa IX-go (wtedy bowiem pisał był swoją książkę) i mnożąc to przez ilość pozostałych w przepowiedni papieży, datę przypuszczalną matematycznie końca świata na rok 1953.

Otóż, co do mnie, by wskazać, jak zawodnym jest rachunek liczb, wziąłem obowiązującą już dziś datę śmierci Piusa X-go, i, na mocy tegoż rachunku przeciętnego, jako skutek długoletniego panowania Leona XIII i powiększenia się przez to znacznego przeciętnej, otrzymałem datę, równie przypuszczalną, a nawet wierniejszą matematycznie, końca świata (wciąż w rozumieniu księdza de Noé): rok 1967.

Tak więc, data moja nie jest żadną wróżbą, lecz zwykłą poprawką aktualną rachunku przeciętnego księdza de Noé, zastosowaną do jego przekonań.

Owszem, w książce mojej, która jest zbiorem jedynie uświęconych w kościele i w tradycyi licznych przepowiedni, starałem się zachować stanowisko całkiem bezstronne,—bez udzielania dyspozycyi uczuciowej, sąd o rzeczy pozostawiając rozwadze samego czytelnika.

W końcu tylko książki, przebiegłszy stanowisko nauki ścisłej względem przepowiedni, stosunek do nich okultyzmu, stanowisko historyozoficzne Cieszkowskiego i t. d., i zrobiwszy bilans ogólny danych *za* i *przeciw* możebności rychłego końca świata, przyszedłem do wniosku zupełnej niepewności kryteryów rozumu w tej sprawie. I wtedy zaznaczyłem swoje odrębne stanowisko metafizyczne, stanowisko *żywej wiary i żywego życia*, zawierające się mniej więcej w takich postulatach:

Niemasz zagłady i śmierci dla wiary, niemasz zagłady i śmierci dla życia. Oścień jej tam bezsilny.

Jakżeż może to nie żyć, co jest życiem wiecznem, jakżeż może to umrzeć, co jest wiarą wieczną, żywota tego treścią? Umiera to tylko, co jest śmiercią w życiu, żyje to wiecznie, co jest życiem w życiu. Umiera tylko zjawisko; żyje wiecznie istota, żyje wiecznie Byt. Bo to, co jest, nie może nie być, będąc niezależnem od czasu, który służy do poznania rzeczy, lecz nie dla jej bytu. „Jam jest zmartwychwstanie i żywot", mówi Chrystus o tym wiecznym bycie, który jest prawdą jedyną, *rzeczywistością* jedyną. Umiera więc tylko fałszywe poznanie tu tej prawdy, tego bytu,—sama prawda umrzeć nie może.

Wobec tego wiecznego życia, sprawa, czy świat ma istnieć jeszcze lat pięćdziesiąt, czy lat pięćdziesiąt tysięcy, jest zgoła małą i zgoła obojętną. Życie nie ma nic wspólnego z zagładą, życia nie dotknie zagłada.

Człowiek jest gościem tej ziemi,—bawi i mija. Ziemia jest gościem wszechświata,—zabawi i minie. Zali jednak gość, który mija, nie żyje? Winniśmy zawsze być gotowi opuścić gościnę. Gościna krótka.

Rzeczpospolita wiecznie żyjących, tych, którzy już minęli gościnę, jest stokroć, tysiąckroć większa, niż rzeczpospolita bawiących jeszcze w gościnie. Całą rzeczą jest — by gość w gościnie czuł, że żyje i miał wiarę w żywot, by szedł gościńcem żywota i trwał przy *rzeczywistości* żywota, gdyż bez tej wiary i bez tej rzeczywistości, i tu, i tam, i na każdej drodze towarzyszyć mu będzie groza zagłady i śmierci,—nie—iżby była ona przez się, lecz—iż jest w nim, jako ograniczenie jego własnego życia, jako cień i widmo jego, i fałszywe poznanie, wołające o drogę wieczystą.

To—wszystko. Zaś wniosek z tego praktyczny? Ten—że człowiek w każdej chwili

tak żyć powinien, jak gdyby ów koniec świata jutro już miał nastąpić, to znaczy: by dobra materyalne, które tak chciwie, tak łupieżczo, tak bez pamięci zagarnia tu, jako zbytek, dzielił wciąż miłosiernie z tymi, którzy głodni, i nadzy, i w potrzebie o niego się ocierają,—a to — iżby, na sądzie kiedyś owego wiecznego życia, który każdego z nas czeka, na sądzie ostatecznym własnego wiecznego sumienia, rzuciwszy już te dobra, nie doznał męki, iście piekielnej: świadomości utraty owego wiecznego życia i bram do niego, na zawsze już zamkniętych.

Na takie stanowisko względem sprawy *końca świata* winien się zgodzić każdy człowiek prawy! *Dr. Jod.*

ZOFJA BASSAKÓWNA.

Zwierciadło.

5)

Radecki z komiczną rozpaczą spojrzał na panią Annę.

Celiński opowiadał o Persyi. Mówił o karkołomnem wdzieraniu się na strome skalne turnie, o noclegach w starożytnych, nawpół-zrujnowanych górskich zajazdach, gdzie podwórza są pełne parskania wielbłądów i śpiewnych nawoływań do wieczornej modlitwy, gdzie rankiem jaśmin wyrosły w szczelinie przez otwór w dachu sypie na twarz śpiącemu białe, pachnące płatki, niby uśmiech pozdrowienia, a czarne jaskółki chyżym lotem śmigają przez drzwi i okna, niby groty z niewidzialnego łuku wystrzelone prosto w lazur nieba; gdzie nad głową jest tylko błękit niczem nie przesłonięty, a w dole droga przez zielona pola, wiodąca ku górom dalekim jeszcze wyższym, sterczącym krwawo-szarą ścianą o śnieżnych szczytach, zamykającą świat. Myśl pani Anny, jak strwożona jaskółka, kryła się w szczelinie lepianki. Pani Mysia wykrzyknęła:

— Nie, już ja państwu mówię, że w tem coś jest! Polacy tak nie podróżują! Bryś naprzykład tylko parę razy zabrał mnie do Paryża. Wieczorami bardzo było wesoło siedzieć w kawiarni przy muzyce całem kółkiem, bo mieliśmy tam swoje kółeczko, i bawiliśmy się doskonale. Ale tak, to jeździ tylko do Petersburga, do Moskwy, do Berlina, za interesami.

— Ja także jeżdżę za interesami.

— O, pan zupełnie inaczej! Pan dlatego to sobie wybrał, że pana ciągnie. Pan już poznał prawie cały świat. A co będzie, jak pan pozna cały? Wybierze się pan na jaką inną planetę?

— No, to już chyba nie w tem życiu.

— Właśnie, w któremś następnem, bo może teraz pan nie zdąży zwiedzić wszystkiego. To jest taka teorya wędrówki dusz, i dużo ludzi w nią wierzy. A dlaczego pana teraz tak nosi po świecie? Człowieka zawsze ciągnie zobaczyć ten kąt, gdzie się urodził. Bryś naprzykład powiada, że na starość wróci na wieś. Wprawdzie to jest moja wieś posagowa i on tam wcale się nie urodził, ale to wszystko jedno. Pan już raz pewno urodził się w Meksyku, a może tylko jeździł go zdobywać, a drugi raz na Złotym brzegu, a potem w Persyi. Pan nic nie pamięta?

— Nic o tem nie wiem.

— To się panu tylko tak zdaje. A zresztą może pan naprawdę nie pamięta. Każde takie pojedyncze życie jest jak sen, jak długa noc pełna snów, czasem przykrych, a czasem przyjemnych. Na drugą noc człowiek zasypia znowu i śni co innego, a o tamtym śnie zapomniał. Chociaż są sny, które się długo pamięta, jeszcze w następnem życiu, a czasem tylko nagle przypomina, że coś było, a co—niewiadomo. To nawet bywa męczące.

— Nic mnie takiego nie męczy.

— To pan widać twardo śpi.

— Przeciwnie, bardzo lekko, a nawet mogę się budzić, ile razy komu się podoba.

— To pan by się zdał na stróża nocnego—rzekła pani Mysia obrażona,—a pani Anna nawet nie zrozumiała, co pan powiedział. Ale jeżeli pan będzie grzeczny, to panu powiem, że może my wszyscy nie pierwszy raz spotykamy się na tym świecie.

— Zapewne. Czemuż by dla mnie wyłącznie taki przywilej?

— Tu niema żadnych przywilejów. Ja doskonale czuję, że już kiedyś żyłam na ziemi. Kto wie, może wtedy, kiedy pan był perskim księciem, pani Anna i ja byłyśmy księżniczkami? Widziałam w Paryżu takie starożytne miniatury. To bardzo ładne. I kiedy pan odjeżdżał na daleką wyprawę, ja stałam na tarasie albo patrzyłam przez rzeźbioną ażurową kratę.

Celiński utkwił w niej szydercze spojrzenie swych bladych oczu i rzekł z niebardzo grzecznym uśmiechem:

— Panie w swoich marzeniach muszą być zawsze księżniczkami. Czemu nie zwyczajną niewolnicą?

— A pan czem był wtedy?

— A ja może byłem handlarzem dywanów albo wielbłądów.

— No, dobrze. W tych bajkach i handlarze bywają poetyczni. A ja wyglądam na niewolnicę?

— Pani ma taką iście słowiańską twarz... Jeśli pani żyła już kiedyś, to wyobrażam sobie, jak jakiś Czud czy Tatar ciągnie panią na arkanie, a pani powolnie drepce przy koniu...

— Z Tatarem chyba nie powolnie — rzekła pani Mysia, przeciągając się kokieteryjnie—bo brzydki. Czud — nie wiem, jak wygląda. Może Bryś był kiedy Czudem? A panna Górczewska także kiedy była niewolnicą?

— Ona jest z tych Laszek, co to i Litwinowi wyrywają się z objęć i lecą w płomienie.

— Ach, jak to pan ładnie o niej powiedział! Gdyby słyszała, byłaby bardzo dumna. Widać, że pan ją lubi i ceni. A pani Anna? Nie, pani Anna nie wygląda na niewolnicę, taka spokojna i pełna powagi, prawda?

Celiński nie odpowiedział. Pani Anna przymknęła oczy, żeby nie poczuć jego spojrzenia. Ale nie poczuła. Gdy je otworzyła po chwili, zobaczyła, że wciąż patrzy na panią Mysię z tym samym uśmiechem, w którym było coś okrutnego.

— Ale niewolnica, to nawet poetyczniejsze od księżniczki. Bo księżniczka ma swoje klejnoty, swoje ogrody, innych rycerzy, a niewolnica nie ma nic, nic. Kiedy orszak przejechał, ona stoi przy studni, gdzie napoiła książęcego rumaka, i patrzy w dal. I nie zostało jej nic, prócz wspomnienia. A pan by pamiętał taką niewolnicę, coby panu napoiła konia?

— Tam kobiety zakrywają twarze.

— Ach, to musi być okropnie chodzić tak, całe życie z zasłoniętą twarzą! U nas kobiety zakrywają tylko dusze. Więc tylko ona pana widziała, i patrzy długo, i pamięta. A pan ją minął, i odjeżdża i nie ogląda się za siebie. Ale oczy przecież widać z pomiędzy tych dwóch czarnych zasłon, przez szparę? Oczu także by pan nie zapamiętał? A gdyby to były takie oczy, jak pani Anny? O, niech pan spojrzy!

Pani Anna z bezsilnym uśmiechem podniosła powieki. Ale i teraz nie patrzył. Pani Mysia paplała dalej:

— Gdybym umiała malować, albo lepiej, gdybym miała malarza, któryby musiał malować wszystko, o co poproszę, zaraz bym zamówiła u niego taki obraz: królewicz oddala się, oddala, a niewolnica stoi sama z próżnym dzbankiem w ręku... Ładnie?

Pani Anna nie mogła opanować drżenia. Troskliwy Radecki otulił ją szalem i litościwie wzruszył ramionami w kierunku pani Mysi. Ta, ponieważ nikt nie podejmował tematu, przeskoczyła w tej chwili na inny.

— A co pan myślał, kiedy pan był dłużej na jakiem miejscu, i polubił. Nie żałował pan?

— Nie myślałem długo, tylko brałem co się da.

— Jakto?

— Żeby nie żałować.

— Ach, jak to prawdziwie po męsku! A jeżeli czego nie było można? Przecież nie wszystko można?

Celiński zaśmiał się swoim okrutnym śmiechem.

— Niewolnice nie mają zwyczaju odmawiać — rzekł z niedbałą drwiną.

Teraz pani Mysia zmieszała się.

— Ach, jak pan to okropnie powiedział! I tak nieładnie! Ale zaraz pan będzie ukarany, kiedy panu powiem, że to nieprawda, żeby pan nigdy nie żałował. Zawsze człowiek coś zostawia za sobą, zawsze z czemś się mija, bo wszystkiego nie może zagarnąć. Czasem to tylko jedna maleńka szybka złota, świecąca wśród nocy. Minął, a potem przypomina sobie i mówi do siebie: kto wie? Ale zapóźno, bo już minął. I ludzie tak samo mijają się z sobą, nieprawdaż, pani Anno?

Pani Anna drżała mimo szala, którym była otulona. Teraz patrzył na nią, prosto w oczy swemi, odbijającemi od złotawego bronzu twarzy blademi oczyma, z czarne-

mi punkcikami źrenic, które sięgały w samą głąb, a do siebie nie dopuszczały, tem samem spojrzeniem, którem spojrzał na nią wtedy po raz pierwszy, kiedy to wydało jej się, jak gdyby jej, jej wyłącznie chciał coś powiedzieć, czy o coś zapytać. Jeśli pytał...

— Nie wiem—odpowiedziała słabo i cicho. Czuła, że ją ogarnia zupełna bezsilność i jakieś omdlenie ciała i woli.

— Ach, jaka pani blada!—wykrzyknęła pani Mysia. — Zupełnie jak dziś rano, kiedy pani powiedziałam... Nie pamiętam co mówiłam, bo ja tak ciągle mówię, ale to nie to, co ja powiedziałam, tylko kuracya. Pani musi już iść spać.

(D. c. n.).

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

(CZĘŚĆ II-ga)

Na Sybir!

3)

Mróz ściskał tęgi, śniegu było pełno,— odbywano więc wciąż podróż na saniach.

Trzeba wszakże przyznać, że ludność z drugiej strony Uralu, przywykła do widoku skazańców, zachowywała się zupełnie inaczej, jak w całej wogóle Rosyi, a szczególniej po zachodniej stronie Uralu.

Wychodzili naprzeciw z wiosek, które napotykano, wynosili nawet gorącą wodę, a czasem coś podobnego do chleba pieczonego z jakichś traw, dla skazańców nie znanych. Czasami dawali suszoną rybę, lecz niestety, tak cuchnącą, że trudno ją było przełknąć.

Soli bowiem mimo jej pokładów, zupełnie nie używali, brzydząc się tym koniecznym dla nas dodatkiem.

W ten sposób skazańcy dotarli do Nerczyńska, spotykając coraz mniej nietylko wiosek, lecz i zagrzebanych w śniegu chatynek.

Na jednym z postojów deszcz z wiatrem zacinał.

Tubylcy mówili:

— No, da, budiet leto!

A był to właśnie koniec września. Wśród deszczu i jam w nierozmiękłym jeszcze śniegu konwojujący i skazańcy noc spędzili. Jakież było ich zdziwienie, gdy zbudziwszy się ujrzeli pędy dziwnych traw, a przedewszystkiem storczyków i innych kwiatów, nietylko na poły rozwiniętych, lecz wprost w zupełnym rozkwicie.

Skazańcy nie mogli wyjść z podziwu, jakim sposobem przez jedną noc te kwiaty wykwitły.

Marya i Anna chciały kilka kwiatów zerwać, żeby je podać mężom.

Konwojujący powstrzymali je od tego, mówiąc:

— Niet, nie możno, eto dla czernoboha!

Kobiety z wielkiem zdziwieniem spojrzały na mówiących.

Ci zaś zerwawszy najmniej rozwinięte storczyki, wetknęli je główkami w rozmiękłą ziemię, dodając:

— Na buduszczeje leto one by nie cwietiły, kakby czernyj boh nie imieł.

Czy rzeczywiście wierzyli w jakiegoś Czernoboha, czy tylko dla zwyczaju wtykali kwiaty łebkami w ziemię, — trudno wiedzieć.

Skazańcy widząc coraz więcej kwiatów, cieszyli wzrok swój tak nagle rozkwitającą w dziwny sposób przyrodą.

Przyrodą, która jak na wezwanie jakiejś czarodziejki bogaciła coraz więcej tę odległą północną ziemię.

Teraz już Anna i Marya zrywały kwiaty po drodze i przynosiły je mężom, przypinając do ich katorżnej odzieży, za co otrzymywały najczulsze podziękowania.

Lecz im więcej zbliżano się do Nerczyńska, przeznaczonego na dalszy pobyt skazańcom, kwiaty i zieloność więdły.

Aż jednej nocy po obudzeniu się nie zastano ani śladu zieleni i kwiecia, zato pełno było śniegu, którym i oni byli przysypani.

Wiatr północny dął nielitościwie.

Dął wprost w oczy.

IV.

Miasto Nerczyńsk rozrzucone na wzgórzu przedstawiało się nader malowniczo.

Prowadziła do niego długa droga usiana drobnemi chatami wtulonemi w śniegu, zato samo miasto błyszczało od złota.

Nietylko bowiem wieżyce, lecz i ściany były wykładane malachitem, zielonym kamieniem, którego tu znajdowały się kopalnie, i złotem z którego, jak wiemy słyną kopalnie Nerczyńskie. Było to bowiem pychą każdego z gubernatorów, ażeby pozostawiał po sobie ślady owych upiększeń. Lecz nim dotarli do JW. gubernatora, dużo jeczcze czasu upłynęło.

Całe szczęście, że na noc zamknęli skazańców i konwojujących w jakimś wielkim drewnianym budynku. Śnieg bowiem i wicher dął niemiłosiernie, — jak zwykle w pierwszych początkach grudnia.

A właśnie w tym czasie wkraczano do tego wspaniałego miasta.

Cały dzień w tej wielkiej szopie przebyli skazańcy i gdyby nie litość konwoju, byliby przebyli o chłodzie i głodzie.

Lecz ci przynosili gorącą wodę na herbatę, suszone ryby, mniej tym razem cuchnące, bo w Nerczyńsku nie brzydzono się solą, oraz kawałki bardzo maleńkie prawdziwego chleba, pieczonego z przywiezionej mąki z głębi Rosyi.

Konwojujący dostarczali im tego wszystkiego, żywiąc się sami przy nieszczęśliwych.

Ci bowiem musieli się teraz przyznać, że mają jakiś grosz przy sobie, kupując dla siebie i konwoju pożywienie. Lecz konwój pytał ciągle o tabakę i gorzałkę, której nieszczęśliwi nieposiadali. Zato w hojności swojej konwojujący poczęstowali ich *piarwą*, t. j. rodzajem dość miękkiego kamienia, który każdy Sybirak z wielką lubością żuł po posiłku. Na drugi dzień, po wysapaniu się i wyspaniu należytym, J.W-ny gubernator zdecydował się na ujrzenie skazańców.

Przyprowadzano ich po trzech lub czterech, według numerów.

Przyprowadzono więc najpierw N-er 1, 2-gi i 3-ci, t. j. Leona, Adama, księdza i jeszcze jakiegoś nieszczęśliwego tak znędzniałego i wycieńczonego, że chwiał się na nogach.

Gubernator spojrzawszy na niego, krzyknął po rosyjsku:

Do szpitala z nim,—niech mi nie zatruwa powietrza!

Straż w tej chwili usunęła nieszczęśliwego do budynku brudnego i cuchnącego, w którym bodaj zmarł tejże nocy.

Z kolei zapytał księdza:

Ten odrazu rzekł:

— Ksiądz katolicki.

— Ksiądz i w rebelii! dałby ja wam, gdybym był w waszym kraju.

Świaszczennik i rebeliant! mruczał, wygrażając księdzu pięścią tuż przy twarzy.

Leonowi i Adamowi zachowanie się gubernatora nie wróżyło nic dobrego.

— Wsie rebelianci zaśmiał się, patrząc na numery 1-szy i 2-gi.

Ci nie odpowiedzieli, — bo i cóż mogli odrzec?

— Świaszczennik i numery 1-szy i drugi na lat dziesięć, roześmiał się groźnie.

— A wy czto?—zwrócił się patrząc na zmizerowane, lecz dzielnie trzymające się kobiety.

Potem nagle, jakby sobie coś przypomniał, rzekł:

— Wy nie pójdziecie do kopalni!

Kobiety przyjęły to w milczeniu.

— Co wy umiecie?—spytał.

Marya i Anna spojrzały na siebie porozumiewająco.

— Po francusku, po angielsku, po niemiecku,—rzekła jedna.

— A także grać na fortepianie, śpiewać...—dodała druga.

— I takim edukowanym przywlec się za katorżnikami!—zawołał w podziwie.

— Takim edukowanym! — powtarzał, chodząc po obszernej izbie. Nagle otworzył drzwi i wyszedł.

Po chwili wrócił.

— I moglibyście uczyć francuskiego języka, a też angielskiego albo śpiewu i muzyki? zapytał nagle, przypatrując się niedowierzając żonom katorżników.

— A jakże, moglibyśmy!

— Ja złożyłam egzamin z francuskiego,—rzekła Marya.

— A ja z muzyki,—dodała Anna.

— No, no! — powtarzał, chodząc ciągle po izbie. Stawał też co chwila, przypatrując się żonom skazańców.

Stały jak na rozżarzonych węglach, mimo to poglądały na mężów, jakby im chciały dodać otuchy. Po niejakimś czasie weszła do izby średnich lat kobieta w tak wielkiej krynolinie, że gdy jedna połowa wchodziła do izby, druga, nie mogąc przejść przez stosunkowo dość szerokie drzwi, zostawała za niemi i tylko siłą trzeba ją było przeprowadzić. Przytem ukazały się wielkie nad podziw nogi obute w przydeptane pantofle. Koafiura jej też nie pozostawiała nic do życzenia. Długie loki, spadające z pod czepca w wielkich skrętach na ramiona, świadczyły o nadzwyczajnej staranności żony JW-nego gubernatora. W ręku miała złote pince-nez, zawieszone na długim złotym łańcuchu. Guber-

nator spojrzawszy na wchodzącą uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł, wskazując na żony skazańców.

— Pogadaj z niemi.

JW-na gubernatorowa spojrzała przez lornetkę na kobiety i porozumiawszy się z mężem rzekła:

— Zdieś niet, proszu za mnoju!

I szła naprzód, kołysząc olbrzymią krynoliną i potrząsając lokami.

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Nina kochała wuja bardzo, był dla niej zawsze dobry i jeżeli miała do niego żal kiedy, to w ostatnim czasie zupełnie o tem zapomniała, doznając na każdym kroku dowodów jego dobroci. Nietylko, że zaspakajał wszystkie jej materyalne potrzeby, nie dając jej nawet udzielać lekcyi, ale zajmował się naukami siostrzenicy, szczerze ucieszył się, gdy doniosła mu o zdaniu egzaminów, wypytywał o plany i udzielał swych rad na przyszłość, mówiąc—możesz na mnie liczyć w każdej chwili, to co moje, to twoje, wolałbym żebyś tu przy mnie starym została, ale skoro cię świat nęci, idź w imię Boże.

Nie było to bynajmniej tajemnicą w Błotnikach, że starszy pan jasną panienkę zrobił swą dziedziczką, owszem nazywano ją tak czasem. Wszyscy ją kochali, witali z radością jako swą panią i żegnali ze smutkiem.

W ostatnich latach spędzała u wuja miłe chwile wakacyi, bez troski, szczęśliwą prawie, gdyby nie dziwna tęknota, która ją gnębiła. A potem ten nieznośny Karol, odkąd on tam był, zatruwał jej wprost pobyt w Błotnikach. W ostatnim czasie zrobił się dziwnie śmiały, rządził w domu z bezwzględnością egoisty, a o wuju nieraz wyrażał się jak o niedołędze. Nina ostro mu to nieraz wymawiała, ale ten dawny potulny wielbiciel zmienił się w brutalnego prawie natręta. Unikała go jak tylko mogła i dlatego nazajutrz po pogrzebie wyjechała, zostawiając go w domu, w którym odgrywał rolę pana.

Siedząc przy biurku Nina pamięcią wracała do przyjemnych dni, jakie przeżyła, w Błotnikach i pomyślała z goryczą, że ostatnia jej przystań zniknęła.

— Cóż znowu—poczęła się pocieszać— przecież teraz, gdy są moją własnością mogłabym wolna od wszystkich trosk tam zamieszkać.

Tak, gdyby nie te pęta, które sama sobie dobrowolnie nałożyła.

A wuj jakżeby się czuł szczęśliwym, który tak pragnął, by Nina została na wsi.

— Później, gdy będę już stara — marzyła dziewczyna, zamieszkam tam na stałe, a raz do roku odwiedzę grób wuja i zostanę tam pewien czas.

W główce Niny pojawiły się plany różne, projekty, zwłaszcza po przeczytaniu długiego listu profesora T., który zawsze sięnią po ojcowsku zajmował, przeczuwając od początku jej wielki talent. Zapytywał on jej czyby nie wyjechała w większym towarzystwie do Nowego Yorku, gdzie otwiera się dla niej pole do występów, a nawet jak na początek wcale niezły miałaby dochód. Profesor namawiał ją szczerze do zastanowienia się nad tą propozycyą, przedstawiając korzyści, jakie z tej podróży mogłaby odnieść, oraz opisując Amerykę jako raj dla młodych talentów, które tam łatwo sławę zyskać mogą.

— Trzeba się nad tem zastanowić — szepce Nina — mam czas teraz, ostateczna decyzya dopiero za kwartał. Zmęczona opuściła głowę na ręce i rada była, że sprawy te uwalniały ją od powrotu do smutnych wspomnień. Bóg jeden wie ile kosztował ją ten bohaterski wysiłek, ile łez w skrytości wylała, ile nocy bezsennych spędziła. Rozpacz pchała ją w objęcia śmierci, kilka razy przekonywała samą siebie, że żyć tak jest niepodobieństwem, że póki go nie ujrzy tęsknota nie da jej spokoju. A przecież spaliła za sobą wszystkie mosty, odpychając Zygmunta słowami— kocham innego.—Tak też na zawsze odsunęła ukochanego człowieka i nie zobaczy go już nigdy, tak musiało być, nie miała innego wyjścia.

I tak dzień po dniu, gdy wieczór zastawał ją samotną, smutne myśli nie dawały jej spokoju, zabijając w niej ochotę do życia, czar młodości i wesołości.

Nina ściska skronie rękoma, jakby chcąc zdusić zmorę, która ją prześladuje, i bezsilna opada na krzesło. Naraz drzwi się cicho otworzyły i na progu stanęła wysoka, wytwornie ubrana kobieta, w ciemnym podróżnym płaszczu. Obejrzała się po pokoju, jakby szukając kogoś, wreszcie, dojrzawszy przy biurku pochyloną kibić Niny, zbliżyła się bez szelestu, kładąc łagodnie dłoń na jej ramieniu.

Jakież było zdziwienie Niny, gdy ujrzała przed sobą panią Olszanowską. Przeszło miesiąc nie miała od niej żadnej wiadomości, i sądziła, że przyjaciółka w gwarze zabaw karnawałowych zapomniała o niej.

Zdziwienie jej powiększyło się jeszcze, gdy ujrzała promieniejącą twarz pani Izy, pełną jakiegoś wewnętrznego blasku, pogodną i szczęśliwą, jak za dawnych czasów, gdy zawsze będąc razem z sobą, kochały się tak szczerze. Ona zawsze została wierna tej przyjaźni. Czyż nie najlepszy dowód tego dała, zrzekając się nawet widoku ukochanego dla spokoju pani Izy?

Przejęta radością spotkania, zapomniała o żalu swym do niej.

Oddając pani Izie uściski i pocałunki zaledwie mogła skupić myśli, by odpowiedzieć na cały szereg pytań. Brak listów został wyjaśniony. Pani Iza dostała silnej gorączki, parę tygodni przeleżała w łóżku. Obawiano się nią, bo z płucami zawsze trochę źle było, a w ostatnim czasie nie ochraniała się wcale. Ale teraz już jest zupełnie zdrowa, i jak tylko mogła wyjechać, przybyła tu, by odwiedzić Ninę, o której słyszała od Adolfa, że jest już skończoną artystką.

Nina przyglądała się jej uważnie, i zrobiła w duszy spostrzeżenie, że coś ważnego musiało zmienić się w życiu pani Izy. Z jakiemś uczuciem smutku zmieszanego z zadowoleniem, przekonała się, że lekarstwo jakie użyła było skutecznem, — zapomniał o niej. Powtarza sobie, że powinna cieszyć się z tego, a dziwna rzecz, ostry ból w sercu przypomniał jej, że łatwo zdobyć się na bohaterski czyn, ale ciężko znieść jego następstwa. Znaglona prośbami Izy poczęła opowiadać wszystko, co przez ten miesiąc przeszła, więc skończenie studyi, śmierć wuja, nagły wyjazd, swą chorobę, zatrzymała się dłużej nad projektem, o którym mówił jej profesor, ale pani Iza odebrała jej pismo i odrzucając je na biurko rzekła:

— Nie myśl o tem moja droga, daleki to termin i kto wie, co do tego czasu może nastąpić. Nie myśl, że nie rozumiem twoich artystycznych dążeń, ale to mi się trochę awanturniczem wydaje. Pomyśl tylko, tak daleka droga, gdybyś zachorowała nie miałabyś nikogo z bliskich przy sobie.

Nina nie chciała przeczyć, ale w głębi serca czuła, że i tu między swemi była prawie zawsze samą. Musiała przekonać panią Izę, że nie może razem z nią wyjechać i nie wiedziała, jak to uczynić. Czuła, że zupełnie traci energię i dziwiła się, że nie może zdobyć się na żadne postanowienie. A pani Iza pomyślała już o wszystkiem, kufry spakowane odesłano do hotelu, mieszkanie zamknięto, i poprostu Nina nie mogła oponować. Przyjaciółka miała dużo do załatwienia w magazynach, gdzie

ostatnie nowości wiosenne nęciły oko, to też zabierała ze sobą Ninę, która była jej pomocą, i tak cały dzień miały zajęty.

(D. c. n.).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Mobilizacya kobiet amerykańskich.

Stany Zjednoczone do celów wojennych zmobilizowały także i kobiety.

Akcyą kobiet amerykańskich do celów wojennych kieruje osobny „Komitet kobiecy obrony narodowej“ w Waszyngtonie. Komitet waszyngtoński zorganizował we wszystkich wielkich miastach Unii amerykańskiej podległe sobie komitety miejscowe. Nadto przeprowadzono powszechny spis wszystkich kobiet pomiędzy 18 a 50 rokiem życia, z wyszczególnieniem uzdolnień umiejętności poszczególnych kobiet.

Pierwszą z akcyi kobiecego komitetu obrony narodowej była propaganda na rzecz pożyczki wojennej, po której nastąpiła na szeroką skalę podjęta propaganda oszczędności 4 i pół miliona kobiet amerykańskich zobowiązało się wypełnić skrupulatnie przepisy rządowe w sprawie oszczędności.

Na szeroką miarę zorganizowano wśród kobiet amerykańskich akcyę wyrobu pończoch, skarpetek, sweaterów, czapek wełnianych i t. p. dla żołnierzy w polu. Kobiety z robótką i szydełkiem w ręku można spotkać na każdym kroku, nawet w teatrze i restauracyi.

Do „Czerwonego Krzyża“ z wybuchem wojny zgłaszały się kobiety amerykańskie bardzo licznie. Przyjmowauo jednakże tylko wykwalifikowane pielęgniarki. Przy wpisie pielęgniarki były obowiązane uiścić wysoką wkładkę, a nadto złożyć deklaracyę, iż koszta swego utrzymania na froncie we Francyi pokryją z własnych funduszów.

Licznie zgłaszają się również kobiety amerykańskie do szkoły automobilowej, po której ukończeniu można uzyskać przyjęcie do kobiecej dywizyi szoferskiej, atoli pod warunkiem oddania do dyspozycyi rządu własnego samochodu; również koszta utrzymania na froncie francuskim każda kobieta-szofer musi pokrywać z własnych funduszów. Dlatego też do dywizyi wstępują tylko kobiety z najbogatszych rodzin.

O stronę duchową żołnierzy w polu troszczy się związek chrześcijańskich panien, który na froncie urządza nabożeństwo, a za frontem utrzymuje kawiarnię, w których żołnierze mogą spotykać się z żonami i siostrami, i kinoteatry, starając się dać żołnierzom zdrową rozrywkę i tym sposobem uchronić ich przed nawiązywaniem niewłaściwych stosunków, które zwykle przynoszą z sobą przykre następstwa.

„Waac“. Korpus posiłkowy kobiecy. — Warunki.—Wynagrodzenie.—Przepisy.

Tak nazywają się na froncie francuskim i angielskim kobiety, służące w armji angielskiej, jako państwowy korpus kobiecy; skrócona ich nazwa od początkowych liter tytułu Womens Army Auxiliary Corps.

Kobiecy korpus posiłkowy powstał w lutym 1917 r., kiedy angielki ogarnął zapał wojenny i zgłaszały się przeciętnie w liczbie 10—12 tysięcy.

Kobiety, należące do tego korpusu, muszą liczyć przynajmniej 18 lat na froncie angielskim, 20—na francuskim. Zobowiązują się służyć przez cały czas wojny i przydzielone zostają odpowiednio do swego wykształcenia czy to jako sekretarki, stenografistki, w biurach przy poczcie polowej lub jako szoferowie etc. Poza rozmaitemi obowiązkami, które spełniać muszą, istnieje szereg warunków, których ochotnicze te oddziały dotrzymują. Między innemi nie mogą służyć na tym samym froncie, na którym służy mąż czy narzeczony.

Wynagrodzenie dla niewyszkolonych jeszcze wynosi od 25 do 50 fr. tygodniowo z dodatkiem 15 fr. na utrzymanie. Po wyszkoleniu wysyłane zostają na front. Organizacya czysto militarna, z ogromnym rygorem wojskowym. Kobiety-żołnierze muszą bezwzględnie spełniać rozkazy swych oficerów, których korpus składa się z kobiet-doktorów, profesorów lub dam z towarzystwa.

Oficerowie ci otrzymują wynagrodzenie od ośmiu do dwunastu tysięcy franków, przyczem doliczone bywają dodatki.

„Waac“ mieszczą się w specyalnych barakach pod dozorem kobiet-podoficerów i nie wolno im opuszczać tychże, tylko w towarzystwie swych przełożonych. Zarazem przestrzega się ściśle, by „amazonki“ nie chodziły i nie stykały się z żołnierzami-mężczyznami.

Według opinii prasy angielskiej i francuskiej „Waac“ oddały i oddają kolosalne przysługi.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: Zofia Seidlerowa.

Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

„Revenons à nos moutons“ — powróćmy do tych nieszczęsnych, zawiłych kwestyi mody, które rozstrzygnąć może tylko dobrze zaopatrzona kieszeń. Rada byłabym bardzo, gdyby każda z moich Szanownych Czytelniczek mogła w taki łatwy sposób rozplątać ten, iście gordyjski węzeł—jakim są obecnie sprawy związane z zakupywaniem tualet,—bo wtedy każda wskazówka, mniej lub więcej praktyczna, mogłaby być wykorzystana i żadna ekscentryczność mody, o jakiejby pogawędka wspomniała, nie zdawałaby się być niesmacznym żartem lub naigrawaniem się z dzisiejszych warunków.

Że jednak wybranek losu jest mało — a te inne przezeń upośledzone muszą sobie na każdym kroku powtarzać—nie tak jak chcemy, ale tak jak możemy, — więc krótko tylko zatrzymam się nad różnymi niewczesnymi pomysłami mody, które są dzisiaj rażącym dysonansem, — a starać się będę wykazać praktyczne strony we wskazówkach, przygotowanych na jesienno-zimowy sezon, które przedstawię następnym razem.

Nauczona jednak smutnem doświadczeniem, z żalem konstatuję, że szukając tych stron praktycznych, rzadko kiedy znajdujemy to, — czego szukamy. Szczęściem, że aksjomat ten odnosi się w tym wypadku do krainy mody i nie wkracza w dziedzinę filozofii życiowej.

A te rzeczy, które łatwo można znaleźć, wydają się niekiedy żartem, niekiedy—ironją. Moda—naprzykład wiele mówi obecnie o sukniach i okryciach wieczorowych, jakby to było najpilniejszą kwestyą, czemś ważnem i nieodzownem.

Istotnie, tak dużo mamy obecnie dobrego humoru i pieniędzy, że najchętniej myślimy o wieczorowych zabawach i najchętniej wydajemy nasze kapitały na wieczorowe stroje.

A jednak kapryśna pani Moda otacza swą opieką właśnie wybrańców losu i snać doszła do przekonania, że najmilej całą swą inicyatywę i wszystkie nowe pomysły poświęcić tym niefrasobliwym istotom, którym wojenna wichura nie zdołała zgonić jeszcze promiennego uśmiechu z ust, przygasić blasku oczu smutkiem,—tym, którym jest we wszystkiem „do twarzy“ i które sobie na wszystko pozwolić mogą.

Moda obecna, nakazująca wielką prostotę linii i skromność w ubraniach ulicowych, na szaty wieczorowe wykosztowywa się na przepych i bogactwo wspaniałych brokateli, haftów ze srebrnych i złotych nitek, strojnych futer. Długi tren, osobno spadający, nie łączący się z całością sukni, spotyka się przy wielu modelach. Najulubieńszym kolorem jest czarny: atłas, tiul, tafta, aksamit. Te dwa ostatnie materyały bywają często przybrane wyszyciem z pereł. Najbardziej wyróżnianym materyałem przez modę jest miękki, błyszczący atłas—fantazyjnie upięty na niewieściej postaci i często przybrany dżetami. Oprócz sukien z czarnych materyi dla młodszych osób moda przeznacza suknie kolorowe. A więc na pierwszym planie suknie z szarych i bronzowych materyałów — przybrane wyszyciem ze stalowych perełek lub koronkami, przetykanemi złotą nitką. Kolorowe aksamitne i welwetowe suknie bardzo są modne. Dla młodych panienek przeznaczone są strojne sukienki z różnokolorowych jasnych materyi. Widzi się także suknie z czarnych koronek na spodzie z bladoróżowej gazy. Przy tych wszystkich strojnych wieczorowych modelach spódnice są przeważnie marszczone i w najrozmaitszy sposób fantazyjnie drapowane, staniki proste, gładkie, najczęściej bez rękawów—lub z maleńkiemi — albo tylko z ramionkami z tiulu.

Wieczorowe okrycia mają nowy, odrębny wygląd. Ponieważ jest ogromny brak—bo o drożyznę w tym wypadku modzie nie chodzi — materyałów wełnianych, — więc okrycia te sporządza się z ciężkich jedwabnych materyi. Ponieważ jednak taki materyał byłby nieco za przewiewny na zimowe dnie, więc prócz podłożenia z moltonu okrycia wykończa się na podszewce z aksamitu, pluszu, wełny, — które by na wierzch nie były odpowiednie—no, i oczywiście z futra. Może przy tym całym niestosownym zbytku wieczorowych okryć—jest to praktyczny pomysł.

Stebnówka, przytrzymująca watę i molton, taka, jaką dawniej przyszywano podszewkę—teraz służy jako dekoracya wierzchu. Ta stebnówka jest zwiastunem zimowego charakteru okrycia.

Prócz zwykłych luźnych okryć moda wyróżnia jeszcze peleryny i luźne, fałdziste, fantazyj-



Szk. 1 Szk. 2. Szk. 3 a. Szk. 3 b.



№ 1—3. **Jesienne ulicowe i wizytowe ubrania.** (Szkice: 1, 2, 3 a, 3 b).

ne okrycie t. zw. *cape*—bez rękawów, tylko z otworami na ręce, które bywają często przytrzymane skrzyżowanemi na przodzie szelkami.

Oto jak się przedstawiają „niemożliwości“ mody, mające mało wspólnego z realnością życia — szaty z „tysiąca i jednej nocy“.

Notując skrzętnie—to, co moda powiada — nasza pogawędka wspomina i o tem i luźno kreśli te obce obecnym warunkom wskazówki.



№ 6. Sukienka z dwóch materyałów dla dziewczynki od 11—12 lat. (Szkic 6).
Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

O „możliwościach“ mody, które trzeba wyszukiwać i podpatrywać — aby mogła być z nich korzyść istotna—pogawędzimy następnym razem.

Marianne.

Wzory Ubiorów i Robót
do № 38.

№ 1—3. Jesienne ulicowe i wizytowe ubrania. (Szkice: 1, 2, 3 a, 3 b).

Ryc. 1 i 2-ga przedstawia ubranie, które również dobrze może zastąpić spacerowy kostyum jak i wizytową suknię. Spódnica ułożona od góry w fałdy, długi żakiet, tył z małą baskinką i rękawy bluzki sporządzone są z lekkiej wełnianej lub jedwabnej materyi, a żakiet dowolnie wykończony na moltonie i podszewce, lub bez, zależnie od tego, jakie jest jego przeznaczenie. Żakiet ten przewiązany w stanie paskiem, wykończony jest z podwójnem obłożeniem przodu i rozchyla się na kamizelce. Ta ostatnia, tworząca cały przód bluzki z kołnierzem i długą baskiną, sporządzona jest ze złotawej brokateli, przybrana dwiema kieszonkami oraz motywami i guzikami pasmanteryjnemi lub ze sznura. Futrzany kołnierz pokrywa kołnierz od żakietu.



Szk. 6. Szk. 7. Szk. 10.

№ 3. Rycina 3-cia przedstawia kostyum jesienny, przybrany oszyciem z wązkiej taśmy i kamizelką z kołnierzem z białego włochatego pluszu. Ta ostatnia sporządzona jest w całości z białej jedwabnej materyi na cieplejszej podszewce, lub z flaneli i ma w praktyczny sposób przy lżejszym kostyumie z ciemno-granatowej wełny zastępować molton, który jest obecnie bardzo drogi. Przód kamizelki naszyty w małych odstępach wązką taśmą, która zdobi również kostyum. Oszyte są nią brzegi żakietu oraz brzegi jednakowych fałd na żakiecie i spódnicy. Z tyłu żakiet ułożony w fałdę, na bokach przymarszczony i przytrzymany paskiem.



№ 7. Suknia z bluzką z krótką baskiną i z paskiem ze wstążki. (Szkic 7).
Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Potrzeba: 4.15 metra materyału 130 cent. szerokości, 3 metry podszewki 60 cent. szerokości, 25 metrów taśmy $1^1/_2$ cent. szerokości. Na kamizelkę: 1.60 metra białego materyału 60 cent. szerokości, kawałek pluszu 80 cent. długiego, 70 cent. szerokości, 4 metry taśmy $1^1/_2$ cent. szerokości.

№ 6. Sukienka z dwóch materyałów dla dziewczynki od 11—13 lat. (Szkic 6). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Materyał bawełniany gładki i w kratę, dobraną tonem, użyty jest na zręczną sukienkę prostym krojem, ułatwiającym wykorzystanie resztek i przeróbki. Szerokie wycięcie pach ujęte jest w wypustkę. Dolna część sukienki ułożona jest w grupy zakładek—połączenie bluzki ze spódniczką pokryte paskiem z materyału gładkiego i w kratę.



№ 4. Aksamitny kapelusz przybrany dużą kokardą z morowej wstążki. Forma i sposób wykonania na zam. w administracyi Bluszczu.

Potrzeba: 2 metry gładkiego materyału, 70 cent. materyału w kratę po 110 cent. szerokości.

№ 7. Suknia z bluzką z krótką baskiną i z paskiem ze wstążki. (Szkic 7). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Materyały wełniane lżejsze lub cięższe odpowiednie są na skromną domową suknię, którą sporządzić można również z dwóch materyałów



№ 8. Okrycie nowym krojem z futrzanym kołnierzem. (Szkic 8 a, 8 b).
Forma na zam. w admin. Bluszczu.



№ 5. **Aksamitny kapelusz z wysoką główką i kloszowem rondem, przybrany jagodami, odpowiedni dla młodej osoby.** (Łatwy do wykonania). Forma i sposób wykonania na zamów. w admin. Bluszczu.

np.: aksamitna lub jedwabna bluzka do szewiotowej lub sukiennej spódnicy. Spódnica gładka, przymarszczona w górze, przybrana jest stebnówką. Gładka bluzka z baskinką zapięta na guziczki i dopełniona stojącym kołnierzem z podwójnego batystu, przypiętym tylko dla łatwiejszego prania.



№ 9. **Kostyum prostym krojem, odpowiedni dla starszej, tęgiej osoby.** (Szkic 9). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

№ 8. **Okrycie nowym krojem z futrzanym kołnierzem.** (Szkic 8a, 8b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Długi płaszcz z grubego ciemno-zielonego materyału na podszewce przybiera kołnierz z futra Iltis, który można nosić rozłożony na plecach lub też wysoko zapięty. Wązkiem obłożeniem wykończone przody, mają w rodzaju krytych szwów sporządzone zaszewki ze stebnówką. Stebnówka powtarza się z tyłu i na bocznych naciętych częściach, które z przodu tworzą kieszenie. Okrycie przybrane jeat celuloidowemi guzikami.

Potrzeba: 4 metry materyału 120 cent. szer., $4^3/_4$ metra podszewki 60 cent. szerokości.

№ 9. **Kostyum prostym krojem, dla starszej, tęgiej osoby.** (Szkic 9). Forma na zamów. w administr. Bluszczu.

Skromny kostyum sporządzony jest z ciemnoszarej wełny. Spódnica prostym krojem ułożona na pasku w fałdy. Gładki, krawiecki żakiet, z przodami naciętemi razem z bokami, wykończony jest stebnówką. Z boków nad stebnówką przecięcie kieszonek. Kołnierz prosty z wyłogami.



№ 10. **Suknia z materyału w deseń, odpowiednia dla młodej osoby.** (Szkic 10).Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 10. **Suknia z materyału w deseń, odpowiednia dla młodej osoby.** (Szkc 10). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Skromną sukienkę z granatowego woalu dopełnia wkład z tiulu przy wycięciu szyi przyszyty do podszewki. W stanie, przez przecięcia bluzki przewleczona wiśniowa wstążka, związana z tyłu na szarfę. Takież przybranie ze wstążki na mankietach krótkich rękawów. Kolisty wycięty karczek wykończony z obu stron falbanką. W dole takaż falbanka zdobi poprzeczną plisę.

№ 11. **Sukienka w formie bluzy z dwóch materyałów.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Zręczną sukienkę sporządzić można z najrozmaiciej zestawionych materyałów,z gładkiego i z materyału w paski, kropki, kratkę w jednym lub odrębnych kolorach. Przez to zestawienie forma ta doskonale nadaje się do przeróbek. Przód w rodzaju napierśnika pozornie przytrzymany guzikami. Przez przecięcia przodu, objęte materyałem, przewleczony jest pasek. Zapięcie z tyłu.

PRZEPISY KUCHENNE.

ŚLIWKI.

Tanie knedle ze śliwkami. Kartofle w łupinkach czysto umyć, kilka razy zmieniając wodę i ugotować.



№ 11. **Sukienka w formie bluzy z dwóch materyałów.** (Szk. 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Po ugotowaniu obrać je z łupinki, utrzeć na tarce na stolnicy i dodać tyle mąki, ile przyjmą kartofle i trochę osolić.

Wyrobić dobrze to ciasto rękami, uważając, ażeby nie było żadnych gruczołków.

Śliwki świeże, zupełnie dojrzałe opłókać czysto i położyć na sito, ażeby ociekły z wody, poczem krająć powyższe ciasto na kawałki i owijać niem każdą śliwkę.

Na kwadrans przed wydaniem na stół wrzucić oblepione ciastem śliwki do wrzącej wody, a po ugotowaniu wyjmować ostrożnie łyżką durszlakową, poczem ułożywszy je na półmisku, polać przyrumienionem młodem masłem z bułeczką i gorące podawać.

Dobre knedle ze śliwkami. Wziąć 4 bułki wymoczone w mleku i wyciśnięte, pełną łyżkę masła, trochę soli, dwa jaja i tyle mąki, aby ciasto nie było zbyt wolne, wyrobić dobrze, poczem rozłożyć na stolnicę, wysypaną mąką.

Śliwki duże, ładne, zupełnie dojrzałe, opłókać czysto i położyć na sito, ażeby obsiąkły z wody.



Szk. 8 a Szk. 8 b. Szk. 9. Szk. 11.

Następnie ciasto na stolnicy pokrajać na kawałki i owijać niem każdą śliwkę.

Poczem, oblepione już ciastem śliwki — na kwadrans przed podaniem na stół — wrzucić we wrzącą wodę i po ugotowaniu wyjmować durszlakową łyżką i zaraz ułożywszy na półmisku, polać przyrumienionem masłem z bułeczką.

Podawać gorące.

Strudel ze śliwkami. Mąki pół kwarty wysypać na stolnicę, wbić do środka 4 jaja, włożyć łyżkę młodego masła oraz wlać odrobinę wody, tyle, aby ciasto było wolne; wszystko to razem dobrze wyrobić, wybić, aż dopóki nie pokażą się na cieście pęcherzyki.

Wtedy umieszczone ciasto na stolnicy wysypanej mąką, przykryć rozgrzanym, ciepłym rondlem i tak je zostawić przez pół godziny.

Następnie położyć na stole czystą serwetę, a na niej, rozłożyć ciasto, poczem trochę je rozwałkować, oraz delikatnie rękami rozciągnąć, uważając, żeby go nie przedrzeć.

Zazwyczaj na brzegach bywa ciasto grubsze, trzeba je więc obciąć nożem.

Potem, na tak rozłożone cienko ciasto, rozlać wszędzie na całe, starając się mniej więcej równo, trochę masła, przesmażonego z tartą bułką.

Piękne. dojrzałe śliwki, opłókać czysto, osączyć na sicie i wyjąwszy z nich pestki, pokrajać na drobne kawałki, poczem, o ile to jest dostępne, wymięszać z migdałami sparzonymi i obranymi, poszatkowanymi dość grubo i to położyć na ciasto: wkońcu posypać obficie miałkim cukrem i unosząc nieco w górę serwetę z jednej strony, zwinąć ciasto.

Następnie położyć je na blasze, wysmarowanej masłem i z wierzchu całe ciasto polać topionem masłem i piec w gorącym piecu. *H. Ch.*



№ 12. **Poduszka z cienkiego, rzadkiego płótna lub z woalu, przybrana szlakiem ze strojnej mereszki i ozdobnemi ściegami.** Wzór na zamów. w administr. Bluszczu.

DROBIAZGI.

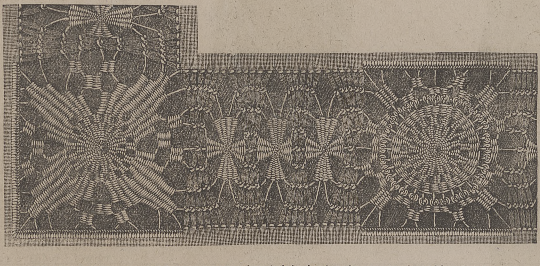
Trzynastka.

Prof. dr. J. Graf wydał w Bernie książeczkę niewielką, w której omawia przesądy do liczb przywiązane.

Jak wiadomo, największe uprzedzenie panuje w świecie do „trzynastki", pomimo, że sąsiaduje ona z liczbą, uważaną za jedną z najszczęśliwszych, z dwunastką. Dr. Graf zapewnia, że świat bez żadnej przyczyny uprzedził się do trzynastki, za to też mści się ona na ludziach. Jest to pewnego rodzaju autosugestya zbiorowa. Ludzie wierzą w feralność, więc też doświadczają jej stosunków. Gdyby wiara ta znikła, to feralność trzynastki nigdyby się nie pojawiła. Ale niestety, wiara w nieszczęśliwą trzynastkę jest zbyt rozpowszechniona, a nawet najpoważniejsi, najwybitniejsi ludzie podlegają temu przesądowi. Opowiadają, że Ryszard Wagner od młodych lat odczuwał wstręt do trzynastki, gdyż jego imię i nazwisko składało się z trzynastu liter, a na dobitek — urodził się w r. 1813. Gdy szwagier jego Brockhaus, zaprosił go na obiad, wielki muzyk omal nie zemdlał z przerażenia, skoro dostrzegł, że do stołu zasiadło trzynaście osób. Jak wiadomo znawcom historyi muzyki, pierwsze przedstawienie „Tannhäusera" nie cieszyło się powodzeniem. Pisząc o tem do swojej siostry, Wagner złożył winę na trzynastkę: „Wiedziałem, że tak będzie; trzynastka mnie prześladuje. Gdym postawił ostatnią nutę w partyturze i położyłem datę, spostrzegłem dopiero, że to był 13 kwietnia. Czułem, że będzie nieszczęście. Oddaję sztukę do wystawienia; pierwsze widowisko wyznaczono na 13 marca (1861). Niech licho porwie cały kalendarz! Sztuka musiała upaść". A jednak „Tannhäuser" do dnia dzisiejszego jest w szerokich kołach najulubieńszą operą Wagnera.

Nawet na tronie można się spotkać z przesądną wiarą w trzynastkę. Ferdynand bułgarski bał się piątku. Jeżeli zaś ten dzień wypadał 13, to nie wychodził z mieszkania i nie zajmował się wcale żadnemi ważniejszemi sprawami. Pewnego razu jeden z mówców podczas jakiejś uroczystości narodowej musiał wspomnieć datę ubiegłą, a było to właśnie przed trzynastu laty. Znając uprzedzenie księcia do trzynastki, zaczął mowę swą słowami: „dwanaście lat i dwanaście miesięcy ubiegło od chwili, gdy"—i tam dalej. Przemowa ta bardzo się księciu podobała.

W niektórych hotelach niema wcale pokoju, oznaczonego liczbą trzynaście, bo zwykle taki pokój goście omijają. Dyrektor szpitala w Nowym-Yorku polecił salę 13 zamienić na 14, bo zauważył, że na tej sali chorzy najwięcej umierali. I zmiana istotnie poskutkowała.



№ 13. **Szlak z mereszki do ryc. 12, odpowiedni również do serwet, kap, bluzek i t. p.**

Są jednak ludzie, którzy do trzynastki przykładają wagę szczególną, jak do liczby szczęśliwej, a wiarę swoją popierają dowodami.

Leon XIII wstąpił na tron w trzynastym dniu po śmierci Piusa IX-go. Pomimo to życie jego było równe i piękne, a „panowanie trzynastki" zalicza się do najwspanialszych w dziejach papiestwa.

Nansen opowiada, że do ostatniej swej wyprawy podbiegunowej zaprosił dwanaście osób. Gdy miano już odpływać, zjawił się na ochotnika człowiek, znany z doświadczenia. Nie można mu było odmówić przyjęcia. W trzynastu więc popłynięto ku biegunowi, a żadna z wypraw nie była tak pomyślna, jak ta, w trzynastkę podjęta. Nikt w czasie wyprawy nie zachorował i okręt, rzecz niebywała, powrócił bez najmniejszych uszkodzeń. „Od tego czasu—powiada Nansen—uwierzyłem, że trzynastka jest dla mnie liczbą najszczęśliwszą. Zacząłem obserwować jej wpływ na moje życie i niejednokrotnie przekonałem się o prawdziwości mego przypuszczenia".

Moda à la Wilson. Paryż ma nowego ulubieńca, nową gwiazdę swego kaprysu. Jest nią — prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson.

Gdy paryżanin wejdzie do krawca, by zamówić sobie garnitur, spotka się napewno z pytaniem:

— Naturalnie pan życzy sobie ubranie z materyału Woodrow Wilson?

W wielkim magazynie z bielizną ofiarowują koszulę à la Wilson, skarpetki à la Wilson i jeszcze pewną wstydliwą część męskiej garderoby także à la Wilson. Chustki do nosa, rękawiczki i kapelusze zdobi również ta modna etykieta, która zaczyna przenosić się także i na konfekcyę damską.

Pewna młoda paryżanka kupiła sobie w wielkich bazarach „Au printemps" jedwabny gorset, który ekscentryczna gorseciarka uważała za stosowne zaopatrzyć w miniaturową, na wstążce odbitą fotografję młodego prezydenta.

I oto rozegrał się nieomal dramat.

— Nędznico! Czyją fotografję nosisz na gorsecie?— grzmiał głos zazdrosnego męża, który, potrząsając groźnie różowym gorsetem, biegał, przewracając meble po zacisznej, marzącem półświatłem nocnej lampy rozjaśnionej sypialni.

Przerażona kobieta ujrzała nagle w ręce męża lśniący rewolwer.

— Oszalałeś! Jaka fotografia? — broniła się rozpaczliwie.

— Tu! tu, nikczemna! — wrzasnął mąż, pokazując jej podobiznę, odbitą na pachnącej fijołkami saszetce gorsetu.

— Oh! Przecież to Wilson, idjoto! Monsieur le president Wilson! — wybuchnęła śmiechem — i — dramat był skończony.

ODPOWIEDZI.

Pani Zofii Bar... Farbować można w domu równie dobrze grubsze jak i lekkie, delikatne materyały. Przy farbach, które dostać można w dobrze zaopatrzonych składach aptecznych, są przepisy, do których należy się stosować. Przy nabraniu doświadczenia, można wytwarzać różne kombinacye. Dla otrzymania koloru bardzo ciemnego, bądź granatowego, zielonego i t. p. dodać można farby czarnej lub najciemniejszej bronzowej. Farbę każdą, czy to z domieszką, czy bez niej, należy przedewszystkiem poddać próbie, t. j. mały kawałek materyału, który ma być ufarbowany, zagotować w przygotowanej farbie; jeśli okaże się za jasna — dodać farby, czy przymieszki, jeśli za ciemna, rozcieńczyć wodą. Materyał każdy musi być przed ufarbowaniem doskonale wyczyszczony, niekiedy i wyprany. Gazy i tiule należy dobrze z kurzu wyczyścić,—gotować należy w farbie podług przepisu. Najlepiej farbują się materyały jasne i białe, dalej materyały w kolorach pokrewnych do farby, która ma być użyta. Np. materyał niebieski na granatowy, zielony jasny na zielony ciemny, lila na fijołkowy i t. p.